



u progu

Wracam, bo wiem, że znów dam się oczarować. Fascynuje mnie myśl o zagubieniu się w labiryncie dywanów, spędzaniu czasu ze sprzedawcami i klientami, podawaniu parującej herbaty i smakowaniu jej pośród *alkatifów, kilimów, sofre, dżadżimów* i *namakdanów*. Każdego dnia zwija się i rozwija dziesiątki albo i setki kobierców, prezentując kunsztowne sploty i wzory, które są owocem pracy kobiet, dzieci i mężczyzn ze wsi i miasteczek Iranu. To jakby wejść do jaskini Ali Baby, grotty pełnej skarbów, o której marzyliśmy, gdy byliśmy dziećmi. A do tego wszystkiego zamieszkam u rodziny handlującej na bazarze w Isfahanie. Isfahan, podobnie jak Samarkanda i Timbuktu, jest miastem magicznym, a jego nazwa wywołuje niezwykle skojarzenia. Wśród poplątanych uliczek tego miasta upłynęło życie mądrego Awicenny, to tu szach Abbas otoczywszy się rzemieślnikami i poetami stworzył pełen splendoru dwór. Po drugiej stronie rzeki przybyli z północy chrześcijanie zbudowali katedrę pełną aniołów, a podróżnicy ze wszystkich zakątków cywilizowanego świata zachwycali się jej pięknem. To w tym mieście turkusowych kopuł i ścian pokrytych ceramiką w kwiaty i arabeski chciałam poczuć ducha Iranu u progu trzeciego tysiąclecia.

Był początek wiosny 2001 roku. Przygotowywałam bagaż w pośpiechu i czułam się jak ktoś, kto zaczyna romans. Wszyst-

ko, co mogłam, zostawiłam w domu, bo chciałam, aby moje ciało i umysł były na tyle lekkie, bym mogła je na miejscu napełnić na nowo. Spakowałam się w ostatniej chwili, zresztą jak zawsze, bo potrzebuję naprawdę niewielu rzeczy. Nie zapomniałam jednak o lekkim płaszczu i chustce do nakrycia głowy. Te dwie rzeczy wzięłam do bagażu podręcznego, żeby założyć je na lotnisku we Frankfurcie, kiedy wejdę do samolotu linii Iran Air. Oprócz tego zabrałam ze sobą jeszcze całkiem sporą walizkę. Kiedy wyjeżdżałam była prawie pusta, ale miała się napełnić, kiedy będę wracać. Pomyślałam też o kilku eleganckich rzeczach, bo miałam mieszkać z rodziną, u której mogłam chodzić bez chustki i płaszcza, no i miałam być zapraszana do ludzi niewymagających od kobiet noszenia muzułmańskiej zasłony, czyli *hedżabu*. Gdyby nie to, gdybym przyjechała do Iranu jako turystka, potrzebowałabym tylko kilku par szerokich spodni i cienkich bluzek, bo nikt nie widziałby, co kryje się pod obowiązkowym irańskim nakryciem, a wiosną upał jest tak silny, że pod *hedżabem* trzeba się ubierać jak najlepiej. Ale moja podróż nie miała być wycieczką turystyczną, tylko głębokim duchowym doświadczeniem. Byłam podekscytowana i podenerwowana, bo czułam, że ta radykalna zmiana w życiu będzie dla mnie lekarstwem na zmęczenie codzienną gonitwą w sercu wielkiego europejskiego miasta. Postanowiłam zamieszkać w Isfahanie i natychmiast wprowadzić w życie powiedzenie azjatyckie, wedle którego „pośpiech jest wynalazkiem diabła”.

Ponad półtora roku temu podróżowałam z mężem po Iranie. Wcześniej byłam tam w 1994 roku z ciekawości jak się żyje w Persji po rewolucji. Poznałam Iran w 1968 roku, kiedy po raz pierwszy, jeszcze jako bardzo młoda dziewczyna, wybrałam się na wędrowkę na wschód. Potem było stypendium i studia na Uniwersytecie w Teheranie, a jeszcze potem,